

Archiwum Misyjne
Karmelitów Bosych

Biuletyn misyjny

Nr 17

MISJE KARMELITAŃSKIE

**Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych**

październik - listopad - grudzień
1978

Kraków ul. Rakowicka 18

SPIS TREŚCI:

WEZWANIA DO ŚW. TERESY Z LISIEUX – Patronki Misji i Misjonarzy
Misyjny Karmel

Życzenia pani dr Wandy Błęńskiej do Uczestników AKM w Polsce (1927 – 1977)

Ministranci pomagają misjom

List wigilijny od matki

Kronika Misyjna

LISTY MISJONARZY:

- List O. Bartłomieja Kurzyńca do Ojca – Kynynya – Burundi – 2.11.1977r.
- List O. Bartłomieja Kurzyńca do Rodziców – Boże Narodzenie 1977r.
- List O. Bartłomieja Kurzyńca do Rodziców, Burundi – Mpinga – 1.05.1978r.
- List O. Bartłomieja Kurzyńca do Siostry – Bujumbura – 19.05.1978r.
- List O. Bartłomieja Kurzyńca do Rodziców – Mpinga – 17.06.1978r.
- List O. Bartłomieja do Siostry – Mpinga – Kiguahu – 5.07.1978r.
- List O. Nazariusza Kwiatkowskiego do Rodziców Mpinga – Gatara – 15.06.1978r.
- List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół – Kraków – sierpień 1978r.
- List S. Zygmuntyna Kaszuby do Przyjaciół – Sosnowiec – 30.11.1978r.

WEZWANIA DO ŚW. TERESY Z LISIEUX

Patronki Misji i Misjonarzy

Boże, Ty przez Świętą Teresę od Dzieciątka Jezus, która z radością nazywała się siostrą misjonarzy, naucz wszystkich ludzi „królewskiej drogi” miłości, ufności i pokory. Uniosłaś Ją, Boski Orle, ponad przeciętność, więc w swojej prostocie pozostawała dla wszystkich misjonarzy, dla wszystkich ludzi Świadectwem, Wezwaniem, Wsparciem. Gromadzimy się w Jej Imię przed Twoim Obliczem, o Boże, aby jak dzieci przebywać blisko swego Ojca. Chcemy przybiec w Twoje ramiona i cały świat w nie przyprowadzić. Dlatego prosimy pokornie:

- Swym życiem odpowiadać na Bożą Miłość – *naucz nas Święta Tereso*
- Chodzić drogami Boga
- Sprawiać Jezusowi przyjemność
- Dziecięcej prostoty
- Ufności Ojcu w niebie, który kocha wszystkich
- Przyjmować prawdę o sobie
- Dostrzegać i rozumieć znaki czasów
- Ofiarować wszystko za misje
- Kochać Krzyż Chrystusowy
- Troszczyć się o zbawienie każdego człowieka
- Dostrzegać dobro nawet w odrzuconych przez świat
- Ze wszystkimi znajdować wspólny język
- Nie wstydzić się ubóstwa
- Swoje otoczenie zapalać miłością
- Modlić się za kapłanów

- Ofiarować Bogu wszystko: nawet samych siebie
- Ocierać łzy płaczącym
- Głodnym wraz z chlebem dawać serce
- Mieć dla wszystkich cierpliwość
- Wiernością w małym budować Wielkie
- Zawsze prawdziwie kochać

Módlmy się:

Boże, Ty nauczyłeś Świętą Teresę do Dzieciątka Jezus i Najświętszego Oblicza kochać wszystkich i w każdej chwili. Zechciej i nas zapalić swoją Miłością, abyśmy Cię kochali bez granic i Miłość Twoją rozgłaszali wszystkim ludziom. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen

MISYJNY KARMEL

Ojcowie i Siostry Karmelitanki Bose na misjach w świecie:

Ojcowie:

Meksyk, Kolumbia, Ekwador, Arabia, Filipiny, Indie, Japonia, Malawi, Zair, Burundi (Karmelici Bosi z Polski), Afryka Centralna, Madagaskar, Irak, Turcja

Oprócz tych placówek misyjnych, Ojcowie pracują w pojedynczych domach w następujących państwach:

Australia, Brazylia, Liban, Izrael, Korea.

Siostry Karmelitanki Bose (Klauzurowe) wspomagają misjonarzy swoją ofiarą i modlitwami w osiemdziesięciu klasztorach na misjach.

W Polsce i na świecie wielka rzesza Współpracowników związanych z misjami Karmelu ma swój udział w niesieniu Dobrej Nowiny przez naszych Braci Karmelitów.

Niech Królowa Szkaplerza św. otacza nas wszystkich płaszczem swej Matczynej opieki.

ŻYCZENIA PANI DR WANDY BŁEŃSKIEJ DO UCZESTNIKÓW AKM W POLSCE /1927 -1977/

Z okazji pięćdziesięciolecia Akademickich Kół Misyjnych przesyłam moje najserdeczniejsze życzenia dalszej owocnej pracy na niwie Chrystusowej.

Od zarania dziejów, Kościół łączył nauczanie Ewangelii z akcją charytatywną, „sprzedawali co mieli i dawali ubogim”.

Kraje Trzeciego Świata są głodne, pragną nie tylko żywności, ale również zdobyć naszą kulturę czy cywilizacji. Nie chcą zależeć od tych co „dają”, chcą się usamodzielnic i od nas oczekują oświaty, podniesienia stanu gospodarczego i leczenia.

Misje, jak zawsze zaczynają Ewangelizację od budowy szkół, ośrodków zdrowia i kultury rolnej. Sieją Słowo Boże na ugorze, z którego usuwają głązy hamujące rozwój – choroby, głód, nieświadomość.

I tutaj jest pole pracy katolickiego laikat. Czynna pomoc na terenie misji – dzielimy się tym, co mamy – nauką i sztuką. Pomagamy do wykształcenia miejscowych kadr katolickiego laikat w służbie zdrowia, w oświacie, rolnictwie, czy rzemiośle, czynem potwierdzając Ewangelie miłości, głoszoną przez misjonarzy.

A czas nagli – wszystkie te dziedziny pomocy przejmują organizacje państwowe, zaspakajając może potrzeby ciała, ale pozostawiając pustkę duchową.

Misje dzielą się tym, co w życiu naszym jest najcenniejsze – wiarą Chrystusową.

Akademickie Koła Misyjne spełniają ogromną rolę w chrystianizacji świata. Uświadamiają szerokie warstwy społeczeństwa o konieczności pracy misyjnej.

Ludy, których kultura, wierzenia, zwyczaje nie są nam obce, które poznajemy przez literaturę i kontakty z misjonarzami, są nam bliższe, są już naszymi braćmi, choć jeszcze nie spotkaliśmy ich osobiście. Spośród pracowników Akademickich Kół Misyjnych może mała tylko garstka pójdzie kiedyś na tereny misyjne, ale wszyscy związani z tym ruchem, tworzą silne zaplecze tych, którym pomagają modlitwą, pracą i organizowaniem pomocy materialnej dla misji.

Mnie osobiście praca w Akademickich Kołach Misyjnych dała oprócz tego wspomnienie najmiłszych chwil w gronie przyjaciół, dała pełne zaufanie i optymizm w podejściu do ludzi, dała poczucie przynależności do wielkiej rodziny ludzkiej.

Za to serdecznie dziękuję i życzę wszystkim pracownikom i uczestnikom Akademickich Kół Misyjnych.

Szczęść Boże w dalszej pracy

Wanda Błęńska

Pani Wanda dr Błęńska jest lekarzem. Pracuje od 27 lat w Ugandzie (Afryka), lecząc chorych na trąd. Pochodzi z Poznania – ur. 30.10.1911r. Tutaj ukończyła studia. Była aktywną działaczką w Misyjnych Kołach Akademickich. Po odbyciu specjalizacji z zakresu medycyny tropikalnej, wyjechała do Ugandy. Pracuje w szpitalu dla trędowatych jako główny lekarz. Znana jako wybitny pracownik naukowy, otrzymała odznaczenie i wyróżnienie angielskie. W 1961 roku Ojciec Święty Jan XXIII nadał Jej order „Pro Ecclesia et Pontifice”. Zapytana przez dziennikarza z Hamburga, który napisał o Jej pracy entuzjastyczny artykuł: „Jak może tak wytrzymać?” odpowiedziała, że świadomość tego, iż można pomóc – daje siłę. Dodała, że umacnia Ją modlitwa. Na ręce, zamiast bransoletki – nosi dziesiątek różańca. Jej przykład może być wielką zachętą dla nas. Jako człowiek świecki oddała wszystkie swoje siły biedniejszym od siebie.

MINISTRANCI POMAGAJĄ MISJOM

Ministranci w parafii Najświętszej Marii Panny Wniebowziętej w Wielogłowach utrzymują łączność z placówką misyjną w Burundi w Afryce od roku 1973 – to jest od czasu wyjazdu siostry pracującej w parafii do Afryki.

Łączność ta polega nie tylko na pisaniu listów, czy nawet zbieraniu ofiar pieniężnych, ale przede wszystkim na modlitwie za misje.

W ciągu całego okresu liturgicznego – pewien okres np. maj, październik, są poświęcone modlitwom za misje.

1. „*Misyjny dar Komunii św.*” – ministrant przyjmując Komunię św. za misję, przykleja kółeczko na swoim obrazku – dziewięć Komunii św. tworzy „kwiat misyjny”. Po ukończonym okresie tej praktyki obrazki te składają jako – dar ofiarny - w czasie uroczystej Mszy św.
2. „*Różaniec misyjny*”. Na białej gazetce lekko zaznaczony różaniec. Ministrant, który odmówił cały różaniec za misje przykleja ziarenko – i tak tworzy się cały różaniec.
3. Inną praktyką – jest składanie „*duchowych darów*” dla dzieci murzyńskich. I tak np. w Pierwszą Niedzielę Adwentu – po uprzednim przygotowaniu, ministranci zbierają się przed głównym ołtarzem – gdzie jest ustawiony pusty żłóbek. Każdy ministrant składa do niego postanowienie – duchowy dar (co uczyni w tym okresie dla dzieci murzyńskich np. odmówi zjedzenia słodczy w każdą sobotę Adwentu, nie będzie oglądał telewizji lub jakiegoś konkretnego programu np. mecz, film; albo dodatkowo przyjdzie na służenie lub odmówi jakiejś modlitwy).
4. Jeszcze inną praktyką misyjną – to *zbieranie znaczków*. Na gazetce mały afisz: „zbierając znaczki – pomagamy misjom” – ministranci wpisują przy swoim nazwisku ilość wysłanych znaczków. Praktyka trwa cały rok szkolny. Rywalizacja między zespołami bardzo chłopców dopinguje. Znaczki te wysyłamy do Belgii.

S. Bartłomieja
opiekunka ministrantów

Z takich ministrantów z pewnością kiedyś wyrosną wspaniali misjonarze, którzy swą gorliwą pracą będą prowadzić dusze ludzkie do Chrystusa. Oby Dobry Bóg spośród nich wybrał sobie wielu świętych, gorliwych i dobrych misjonarzy – oto modlimy się.

LIST WIGILIJNY OD MATKI

Piszę Ci, Synku z daleka, z domu...

Na szybach śnieżne łyskają się płatki –

Wspominam dawno dni – i po kryjomu

Płaczę... Ty, Synku, zrozumiesz łzy matki.

Już jest choinka... wiesz, zaraz u stoła

Siądzem, jak dawniej, z siostrzyczkami trzema –
A razem z nami i myśl niewesoła,
Że Ciebie, Synku, wśród nas dzisiaj nie ma.
Ty tam samiutki w odległej gdzieś stronie
Jak my, tak liczysz mijające chwile...
Jaka Ci gwiazdka dziś wieczór zapłonie
Kto Ci świąteczną przyrządzi wigilie?
Jaką kolędą Syneczku mój miły,
Rozjaśnisz Twoje godziny tułacze?
Myśmy się dzisiaj za Ciebie modliły,
A ja, nad listem jeszcze, widzisz, płaczę.
Myśl o nas Synku... wspomnij przy wieczerzy...
W liście mym znajdziesz okruchy opłatka –
Wiem, że nam wrócisz... Ten, co „w żłobie leży”
Czuwa nad nami... Całuję Cię...

Matka.

Wiersz przepisany z „Misjonarza”

KRONIKA MISYJNA

Z Polski:

Marzec:

18-tego marca przyleciał samolotem na urlop po kilku latach pracy w Afryce O. Teofil Kapusta wraz z panem Tadeuszem Szklarczykiem. Pan Tadeusz (popularnie nazwany przez misjonarzy i Murzynów „Szwagrem” – jest szwagrem O. Sylwana), pracował w Burundi dwa lata jako stolarz, budowniczy – jednym słowem „złota rączka”. Wrócił do kraju – ma jednak wielką ochotę jechać na nowo. Niech Bóg nagrodzi Jego ofiarną pracę – życzymy Mu, by mógł jeszcze wiele lat pracować w Burundi.

Kwiecień:

W pierwszych dniach O. Teofil Kapusta przeszedł operację oraz krótką kurację w szpitalu w Linzu w Austrii. Dzięki Bogu szybko wrócił do zdrowia.

Maj:

Przebywał w Polsce bp Joachim Ruhuna – Ordynariusz diecezji, w której pracują Ojcowie Karmelici Bosi, Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus oraz za dwa lata będą pracowały Siostry Kanoniczki (Duchaczki). Ksiądz Biskup przyjechał do Polski już po raz drugi. Pierwszy raz był w 1974 roku. Podczas pobytu w bieżącym roku prosił w wielu seminariach i zakonach o nowych misjonarzy. Odwiedził także kilka klasztorów Ojców Karmelitów Bosych, by podziękować za misjonarzy. Odwiedził Biuro Misyjne w Warszawie,

Ojca Prowincjała Ojców Pallotynów, którzy pracują w sąsiednim państwie – Rwandzie. W Krakowie odwiedził studentów w ośrodku duszpasterskim Ojców Dominikanów tzw. „Beczke”. W Targanicach odwiedził Rodziców O. Bartłomieja oraz odprawił Mszę św. w kościele parafialnym, dziękując wiernym za misjonarza. Podobnie w Gierałtowicach odwiedził Rodziców O. Teofila Kapusty oraz podziękował parafii za misjonarza – Przełożonego Misji w Burundi.

W Wadowicach odwiedził Niższe Seminarium, gdzie przygotowują się przyszli misjonarze, Karmelici Bosi oraz spotkał się z wiernymi w kościele. Odwiedził także Tatusia O. Sylwana Zielińskiego, który pracuje w Afryce oraz pana Tadeusza Szklarczyka w Jego rodzinnym domu. Ksiądz Biskup podziękował dzieciom i żonie pana Szklarczyka za to, że pozwolili Tatusiowi pracować w Afryce.

Wizycie Księdza Biskupa towarzyszył O. Teofil Kapusta.

Czerwiec:

Podczas Kapituły Prowincjalnej O. Teofil Kapusta został ponownie wybrany na Przełożonego Misji w Afryce.

Podczas wakacji przebywał także w Polsce na urlopie Brat Marceli Szłósarczyk, budowniczy i wzorowy mechanik. Jest On bardzo wielką pomocą naszym misjonarzom. Przebywając w Polsce nabierał sił do dalszej pracy na terenach misyjnych.

W Wadowicach, podczas kilku serii rekolekcji dla ministrantów, z każdą grupą spotkał się pan Szklarczyk, który opowiadał o swojej pracy jako misjonarz świecki.

Ministranci, którzy kilka lat temu żegnali O. Bartłomieja i O. Nazariusza, teraz wspólnie napisali list do „swoich” misjonarzy w Afryce. Może wielu z nich Bóg też wezwie na niwę misyjną – modlimy się o to.

Podczas wakacji przebywała też w Polsce S. Zygmunta Kaszuba – Karmelitanka Dzieciątka Jezus – lekarka w Burundi. Ta, która tak owocnie, z wielkim poświęceniem pracuje wśród chorych i trędowatych w Mpinga. Bardzo przeżyła smutną wiadomość, jaka dotarła do Polski podczas wakacji: w Burundi pojawiła się (prawdopodobnie przeniesiona z sąsiedniego kraju) epidemia cholery. Na szczęście nie zabrała zbyt obfitego plonu w zgonach ludzi.

Lipiec:

W połowie miesiąca przyjechał do Polski drugi Misjonarz, O. Jan Kanty Stasiński. Odwiedzając wiele klasztorów i spotykając się z wieloma Dobrodziejami Misji, mówił dużo o swej pracy w Afryce, jako proboszcz drugiej placówki Ojców Karmelitów w Musongati.

Sierpień:

W Laskach koło Warszawy, odbyło się spotkanie misjonarzy Polaków, którzy obecnie przebywali na wakacjach w Ojczyźnie. W tym spotkaniu wzięli udział także nasi misjonarze: O. Teofil Kapusta, O. Jan Kanty Stasiński, Brat Marceli Szłósarczyk, S. Zygmunta Kaszuba.

20-tego sierpnia O. Teofil Kapusta spotkał się z wiernymi w Poznaniu, w naszym kościele. Podczas kazania i wyświechtania przeźroczy dziękował w imieniu misjonarzy za wszelką pomoc, jaką otrzymują od wiernych z Polski.

Wrzesień:

W pierwszych dniach miesiąca powrócił do Burundi Brat Marceli Szłóсарczyk – Szczęść Mu Boże w dalszej misjonarskiej pracy.

O. Teofil Kapusta nie pojechał razem z Bratem Marcelim – chociaż planował – dlaczego? O tym pisze w liście (zamieszczonym w tym numerze Biuletynu).

W tym miesiącu O. Teofil Kapusta odwiedził Rodziców O. Bartłomieja, Rodziców O. Józefa i Eliasza (bliźniaków pracujących w Burundi) oraz Rodziców O. Nazariusza Kwiatkowskiego. W ostatnich dniach września odjechała do Burundi S. Zygmunta Kaszuba po krótkim i niestety, bardzo pracowitym odpoczynku.

Październik:

Miesiąc poświęcony zainteresowaniu misjami. W tym miesiącu nasi misjonarze przebywający na urlopie w Polsce mieli bardzo dużo pracy.

Oto spotkania O. Teofila Kapusty z wiernymi: Nowa Huta, Wielogłowy koło Nowego Sącza, Truskolasy koło Częstochowy, Kraków – Kościół Karmelitów Bosych, Wrocław – Kościół Karmelitów Bosych.

O. Jan Kanty Stasiński natomiast duszpasterzował w: Poznaniu – Kościół Karmelitów Bosych, Mogile koło Krakowa – Kościół Ojców Cystersów, u Sióstr Sercanek w Krakowie – spotkanie dla sióstr zakonnych, przy Kościele O. Dominikanów w Krakowie – spotkanie ze studentami. Rozpoczął miesiąc misyjny w Krakowie 2 października br.

Listopad:

Miesiąc odjazdów z Polski zarówno O. Jana Kantego Stasińskiego jak i O. Teofila Kapusty.

O. Jan przez Wiedeń i Rzym wraca do swojej parafii w Musongati w Burundi, natomiast O. Teofil przez Brukselę samolotem wraca do „utęsknionej” drugiej ojczyzny.

Na dalsze lata ich misjonarskiego trudu życzymy im „Szczęść Mu Boże”. Dziękujemy za miły pobyt w Polsce i obiecujemy modlitwę i pamięć o nich.

Jeszcze w tym roku ma przyjechać na odpoczynek O. Sylwan Zieliński. Tym razem chce odpocząć „na śniegu”, którego nie widział od 1970 roku. Nie można jeszcze przewidzieć dokładnego terminu przyjazdu do Ojczyzny.

Za Dobrodziejów swoich, Misjonarze w Burundi odprawiają Mszę św. w każdą sobotę i niedzielę. Także w naszym klasztorze w Krakowie odprawia się w każdym tygodniu Msza święta za żywych i zmarłych Dobrodziejów Misji.

Grudzień:

Za wszystkich Współpracowników Misji w Burundi odprawi się Mszę św. 25 grudnia br. o godz. 7.00 na Jasnej Górze w Częstochowie, u stóp Matki Bożej.

LISTY MISJONARZY

Listy O. Bartłomieja Kurzyńca:

Kynynya – Burundi 2.11.1977

Najdroższy Tato!

Pochwalony Jezus Chrystus. Nie wiem, czy otrzymałeś mój spóźniony list na Twoje imieniny i urodziny. Z wielkim szacunkiem i podziwem odnoszą się do mnie tutejsi ludzie, gdy im mówię, że mój tata zaczął 79 rok życia. Dziękuję Bogu.

Jak widzisz, zmieniłem misję, to znaczy dom. Jestem w Kynynya (czyta się Kininie). Misja ta położona jest na równinie, nad granicą Burundi i Tanzanii. Kiedyś pojechałem się wykapać do rzeki, która jest granicą, więc mogę powiedzieć, że byłem w Tanzanii. Teraz jestem w prawdziwej Afryce. W południe, w cieniu, jest 40 stopni ciepła. Wokół wyschnięte trawy sięgają dwóch metrów. Lasów w pobliżu nie ma. Od czasu do czasu przejadę gada, a w celi znajdę skorpiona. Wieczorem oglądam, jak Murzyni wypalają stopy. Jak przyjdzie deszcz, krowy mają świeżą trawę. Czasem jeżdżę na polowanie. Ojciec Belg, z którym jestem, ma broń. Byłem już 3 razy. Za każdym razem coś się upoluje. Mięsa dzikiego nie brakuje – gazy (coś w rodzaju kozy), zające, kuropatwy, szakale, dzikie koty, małpy. Nie myśl, że jemy wszystko.

Co robię na tej nowej placówce? Przyjechałem tu na trzy miesiące, by zrobić praktykę duszpasterską. Żyjemy tu we dwóch, a są dni, w pojedynkę. Strachu nie mam, jak jestem sam, bo przy łóżku leży broń. Trzeba powiedzieć, że złodziei tu nie brakuje. Już się z nimi spotkałem. Kiedyś będąc w stolicy, pojechaliśmy nad jezioro, by się wykapać. Ja byłem przy rzeczach nad brzegiem. Podeszło dwóch Murzynów i mówią, że nam kradną rzeczy w samochodzie. I w momencie jak się obróciłem, to ukradli torbę z rzeczami i w nogi. Ja nie daję za wygraną, za nimi. Zdawałem sobie sprawę, że jak nie odbiję rzeczy, to do stolicy powrócimy pieszo i w spodenkach. Zapędziłem ich w zarośla i jak się zorientowali, że jestem sam, przystanęli. Powiedzieli, że bym odszedł jak nie chcę zarobić guza i wygrażali mi pięściami. Mówię im, by oddali mi ubranie, klucze od domu i samochodu. Trochę rzeczy rzucili, ale nie wszystko. Została torba i aparat fotograficzny. Trochę żeśmy odpoczęli i pogoń zaczęła się dalej. Myśleli, że dam spokój. Ale nie Kurzyniec! Przebiegli przez rzekę. Ja też. Rzucili mi torbę i aparat. Dobiegli do małej osady murzyńskiej i zniknęli między drzewami bananów. Dałem spokój, bo mógłbym nie wrócić. Ukradli mi pas od spodni, okulary słoneczne i scyzoryk. To co mi ukradli to jest pestka z tym, co kradną innym, którzy przyjeżdżają nad jezioro. Dziękować Bogu, uratowałem honor polskich misjonarzy, bo dopiero byłoby śmiechu, gdyby nas inni zobaczyli w takim stroju. Przygoda skończyła się bezpiecznie i szczęśliwie. Mimo wszystko wykąpaliśmy się i odświeżyli.

Wyobraźcie sobie, chyba trzy tygodnie temu, murzyńska policja złapała w stolicy trzech złodziei i potem na oczach wszystkich zabiła ich kijami jako przykład dla innych. Okropne to, ale takie jest prawo czarnych.

Nie miejcie o mnie strachu. Powracam do moich zajęć. W każdy dzień Msza św. (dwa razy w tygodniu krótkie kazanie). Trochę rozmowy z ludźmi.

Teraz zaczyna się wiosna i prawie codziennie przelatuje deszcz. Ludzie sadzą groch, kukurydzę, słodkie ziemniaki. No więc i ja zabieram się do ogrodu, by zasiać marchew, kapustę, kalarepę, buraczki, pietruszkę, trochę cebuli, grochu i innych rzeczy. Ziemniaki kupujemy, bo u nas się nie udają.

Jurto mam wozić piasek na budowę. Po południu trzeba przygotować kazanie po kirundi, bo w pierwszy piątek jadę na trzy dni do kaplicy parafialnej. Pogan jest dużo. Na dwadzieścia tysięcy ludzi, gdzieś dwa tysiące jest ochrzczonych. Ja ochrzciłem dopiero 33.

Wczoraj w Uroczystość Wszystkich Świętych miałem Mszę św. Było na niej czternastu wiernych i ja – piętnasty. Była to druga Msza św. w Burundi.

Tato, kończę już, bo jest po jedenastej w nocy. W domu tam chyba jeszcze nie śpią. Tato, uważaj na zimno, byś się nie przeziębził. Pozdrów Mamę i Elę, jak przyjdą Cię odwiedzić. Wybieram się do nich z listem. Pozdrowienia dla całego personelu sanatorium i dla Twoich współtowarzyszy. Pisz swój pamiętnik.

Pozdrowienia i uściski od syna – Jaśka
o. Bartłomiej

Afryka – Burundi
Boże Narodzenie 1977r.

„Spuście nam na ziemskie niwy
Zbawcę z niebios obłoki”.

Najdrożsi Rodzice, Siostró Elu,
Droga Rodzino – Wszyscy!!!

Pokój Chrystusa niech będzie z Wami, podobnie brzmi pozdrowienie tutejszych ludzi: odaguhaje mahoro! Co znaczy – daję ci pokój. Ja dodaję – daję Wam pokój Chrystusa.

Jest księżycowa noc i trochę chłodno, bo po deszczu. Tymczasem u Was zimno, może już spadł śnieg! U nas w Burundi zaczyna się wiosna. Wszystko się zielni, ludzie sadzą groch, kukurydzę. Nie chce mi się wierzyć, że rozpoczynamy Adwent. Nowe oczekiwanie na przyjście Pana, nowe przygotowanie serca. Ilekroć widzę niezmiernie przestrzenie Afryki, mogę krzyczeć naprawdę: Spuście nam na ziemskie niwy Afryki Zbawcę z niebios obłoki.

Jestem w tej chwili w punkcie katechetycznym, który nazywa się Nabitsinda. Na kilkuset mieszkańców, tylko kilkadziesiąt jest chrześcijanami. Przyjechałem tu wczoraj rano tzn. 25 listopada. Odwiedziłem w szkole tych, którzy się uczą katechizmu. W szkole – to znaczy w kaplicy. Potem idę odwiedzić uprawiających ziemię – wszystko kopaczkami. Spotkałem młodego Murzyna, któremu rano zmarła żona. Młode małżeństwo, jeszcze nie mieli dzieci. W południe odprawiłem Mszę św. Wreszcie obiad: groch, marchew, cebula, maniok, boczek. Wszystko to razem gotowane, naprawdę „miód”. Potem się „buchnąłem” trochę, jak to czyni mama na 10 minut. Nie mogę się zdrzemnąć, bo obok Murzyni grają w

piłkę. Wyszedłem na pole i zobaczyłem, jak Murzyni niosą zmarłą kobietę na cmentarz. Pogrzeb pogański. Poszedłem z katechistą, by się pomodlić. Cmentarz zarośnięty trawą po pas. Rozkopane groby przez dzikie zwierzęta, które w nocy wywlekają zmarłych. Ludzie tu się nie troszczą o zmarłych. Mają przed nimi strach. Dlatego też widzę na grobach murzyńskie naczynia, w których przynieśli piwo, by się zmarli na nich nie mścili. Wylewają to piwo na grobach. Grzebanie zmarłych jest sprawą mężczyzn. Kobiety nie biorą udziału. One, które rodzą życie nie mogą spotykać się ze skutkami śmierci. Dawniej wszystkie rzeczy, które służyły pogrzebaniu wyrzucano, następnie w domu zabijali woła, by śmierć nie powróciła. Mięso zjedli – słusznie. Zmarłego owijają w matę robioną z liści bananowych. Pomodliłem się, pobłogosławiłem zwłoki i odszedłem. Nie byłem do końca.

W drodze powrotnej rozmawiałem z katechistą. Pytam go, dlaczego z ową kobietą nie poszli do lekarza. Mówi mi, że nie mają zaufania do lekarzy, wierzą czarownikom. Następnie pytam, czy wśród ludzi, którzy byli na cmentarzu, był czarownik? Odpowiada, że – tak. Ów czarownik ma trzy żony. Jako trzecią wziął młodą dziewczynę. Zagroził jej, że jak nie przyjdzie to umrze. Poszła. Taki los kobiety u pogan. Gdzie miłość? Czarownicy robią wiele złego wśród ludzi, szczególnie się ją nienawisć. Nie zaczarowują ludzi, ale czarują ludzi, zarabiając ładne pieniądze. Mówią danemu człowiekowi, który przychodzi pytać o przyczynę choroby lub nieszczęścia, że to ten a tamten człowiek jest powodem i stąd nienawisć.

Dziś rano tj. w sobotę już o godz. 6.00 zaczęli się schodzić do spowiedzi. Spowiadałem dwie godziny. Potem Msza św. z kazaniem. Jest to raczej rozmowa z wiernymi o Bogu, bo samemu mi jeszcze trochę ciężko. Po Mszy św. podchodzi do mnie katechista i mówi mi, że pewna kobieta prosi o błogosławieństwo. Podziwiałem w sercu wiarę tej kobiety. Przyszła potem do mnie, by kupić niwakię przeciw malarii. Pytam się kiedy zawarli małżeństwo. W 1971 roku. A więc zrozumiałem. Jest to pierwsze dziecko, jakiego oczekują. Dzięki temu trwałość tego małżeństwa uratowała się, bo tutaj małżeństwo bezdzietne normalnie rozlatuje się, niezależnie czyja niezdolność. Któryś z ojców poradził tej kobiecie, by przyszła do lekarza i poprosiła o lekarstwo zawierające związki żelaza. Otrzymała je i poskutkowało. Następnie jem śniadanie (godz. 10.30): chleb z masłem i miodem. Miodu tu nie brakuje. Dla misjonarzy – „kraj miodem i masłem płynący”.

Mówię do wiernych, że chcę odwiedzić ich zagrody. A więc wybieram się w drogę. Zabieram ze sobą Murzyna, bo nie znam terenu. Doszedłem aż do drugiego punktu katechetycznego (do Munhazi). Mieszka tam jedna z siostr z Murzynką, która ma zamiar wstąpić do zakonu. Zjadłem obiad, odprawiłem Mszę św. i powracam. Złapał nas ulewny deszcz. Zmoczył do nitki. Zanim doszedłem do domu, byłem suchy jak pieprz.

Po drodze otrzymałem kilka jajek, trochę grochu. Dali mi to poganie z miłości, wdzięczności, że ich odwiedziłem. „Człowiek Boży” – tak nazywają misjonarza. Jest ten dar cenniejszy dla misjonarza, niż dla żołądka.

Powróciłem do domu sam, odmawiając po drodze różaniec. Powracam sam, bo tak jest w życiu misjonarza, ale nie całkiem. Powracam z darem życzliwych serc, które dziś spotkałem, a które złożę Panu w jutrzejszej Mszy św.

Najdrożsi! Będę kończył, bo trzeba iść spać. „Maryjo Królowo Polski i Burundi, jestem, pamiętam, czuwam”. Dobranoc do jutra.

2 grudnia. Jestem w stolicy. Przyjechałem tu wczoraj, przemierzając 200 km. Załatwiłem przedłużenie mego pobytu w Burundi. Trzeba także coś kupić do zjedzenia, bo

święta na karku. Nie mam sił ani pomysłu na pisanie wielkich życzeń. Tym bardziej, że czuję się dzisiaj niezbyt dobrze. Duszno mi, gorąco i lekki ból głowy. Ale to przejdzie. Pozwolę mówić sercu.

Moje drugie Święta przebywam na obczyźnie. Jednak nie w pełni na obczyźnie, bo przecież Burundi to moja druga matka – ojczyzna. To nasi ludzie, nasi bracia. Jestem u swoich. Boże Narodzenie pragnę przeżyć z umiłowanym domem, razem z Wami, w umiłowanej ziemi Targanic, w umiłowanym kraju. Jak zwykle w wieczór wigilijny klękam z Wami do dziękczynnego pacierza. Łamię opłatek, dzielę moje życzenia dla Was wszystkich, dla Waszych Rodzin, dla Ciebie Elu. Dziękujemy sobie razem za wspólnie przeżyty rok, przepraszając się za uchybienia w naszym współżyciu, prosimy o poprawę. Bo po to przyszedł Chrystus, aby nas zbawić. Niech dobry Pan obdarzy nas życiem, zdrowiem, zadowoleniem i darem łaski na codzienny trud życia. Świętujcie Boże Narodzenie w radości ducha, z sercem czystym, pojednanym, w obfitości pokarmów, które ze szczodroblewości Bożej spożywać będziemy. Niech nasz dom rozbrzmiewa radością pasterzy, którzy znaleźli Zbawcę – Chrystusa. Nie mam opłatka, ale przesyłam Hostię, która niech nas łączy. Dziś wieczorem odlatuje samolot do Belgii, który bierze ten list. Czekam na Waszą wiadomość. Nie piszę do taty, bo myślę, że na Święta będzie w domu.

Uściski i serce z Afryki –
Syn i brat – Jaśko

Z Bogiem!

O. Bartłomiej Kurzyniec

„Chwalcie łąki umajone”

Burundi – Mpinga 1.05.1978r.

Najdrożsi Rodzice, Siostrze Elu!
Pochwalony Jezus Chrystus!

Gwieździsta, afrykańska noc. Księżyc jeszcze nie wyszedł. Zobaczę go dopiero rankiem. Cisza wokoło. Świat murzyński uśpiony jest. Misjonarze jeszcze nie śpią. Uganiają się za sprawami doczesnymi i Bożymi. Dochodzi godzina 11-ta. Afrykańskie rozgłośnie radia kończą swoje programy. W radio złapałem jakiś program francuski. Nie ma telewizji – nie narzekam. Zakończyłem również mój program dnia. Moja rozgłośnia nie sięga na koniec świata, zamyka się w Mpinga. Teraz pragnę nadać Wam parę słów.

O. Teofil pisze mi, że was odwiedził. „Żyją!” – tak mi donosi. Składam dzięki Panu i cieszę się. Jak dotąd od listopada nie mam listu od Was. Pisałem pod koniec marca. Może źle adresujecie. Myślę, że moje listy dochodzą. Również cieszę się, że Was odwiedził Szwagier – Szklarczyk z Wadowic. Myślę, że więcej Wam przekazał niż moje listy. Ciągłe go tu wspominamy.

1 maja już przeminął. Czuję wiosnę polską. Pełną nadziei i marzeń. Uciekam się do minionych wiosen w Targanicach. U nas odwrotnie. Zaczyna się pora sucha. Zaczyna się okres upałów i prac przy budowach. Jutro jadę do Kiguhu, doglądać roboty przy budowie domu dla Sióstr Czarnych. To tak dorywczo. Uczę się jak to robić. Budową zajmuje się O. Sylwan Zieliński z Wadowic. To są moje dodatkowe zajęcia misyjne. Obok prac apostolskich – misyjnych, prace gospodarcze. Kukurydza kwitnie, groch już będzie kwitnąć, ziemniaki wychodzą, koguty pieją – 27 kur i kogutów, świnia się oprosiła – cyganka! ma objętość 103 cm. Pod koniec maja będzie świniobicie. Wieprzuś, który się nazywa Maciuś, ma 33 kg. Za dwa miesiące przybyło go 25 kg – Murzyn. Cieszy mnie to!

Mój program dnia zaczyna się od nawiedzenia Chrystusa w kaplicy i od wizyty w oborze, czy wszystko żyje. Tak jak w domu.

Dwa tygodnie temu biliśmy w Musongati świnie. „Wychowanka” Sióstr Karmelitanek z Polski. Mieliśmy jedzenia na trzy domy misyjne. Opłaca się. Trochę żeśmy odżyli i podjedli po polsku. Była kiszka, leberka, salceson, kiełbasa, kotlety, żeberka i inne.

Dziś mieliśmy wolny dzień od pracy. Rano była uroczysta Msza św. Wiernych przybyło dużo. Przynieśli narzędzia pracy, by je Pan pobłogosławił. Jest to piękny zwyczaj poświęcenia 1-go maja narzędzi. Kobiety i dziewczęta przyniosły kopaczki, chłopci siekiery i murzyńskie sierpy. Niektórzy wyciągali spracowane ręce, by Bóg obaczył i umocnił te osłabłe ramiona, które dał człowiekowi przy stworzeniu. Ja dałem wszystko do poświęcenia: ręce, nogi, oczy, całego siebie, bo nam potrzeba siły z wysoka.

Po obiedzie wybrałem się z O. Nazariuszem do naszej rzeki z wodospadem. Myślimy budować małą elektrownię. Skorzystaliśmy z kąpieli, wody i słońca. W drodze powrotnej spotkaliśmy Naszą Matkę Maryję w modlitwie różańcowej. Nie daliśmy rady przyjść na wspólny Różaniec przy kapliczce parafialnej.

Wieczorem piekę serowiec i kiszę kapustę. I tak przemija pierwszy dzień maja.

Napiszcie co słyhać w domu i w polu. Kończę, bo mam jeszcze trochę modlitwy, która zamyka mój dzień. Jestem, pamiętam, czuwam z Wami przy Maryi.

Wspomagany opieką Rzemieślnika św. Józefa synowski i braterski pocałunek przesyłam

Jaśko – Bartek
z ciepłych krajów – Burundi
O. Bartłomiej

„Anielską pieśń dzwon gra”

Bujumbura 19.05.1978 r.

Najdrożsi Rodzice, Siostru Elu!
Pochwalony Jezus Chrystus!

Piątek. Stolica się budzi. Rozpoczyna się upalny dzień. Termometry wskazują 25 stopni. W kościele św. Michała dzwoni dzwon na Anioł Pański. Godzina 6.00 rano. Idę na brewiarz i na spotkanie z Chrystusem we Mszy św. Już prawie dwa lata naszej wspólnej ofiary, jego Krzyżowej, mojej kapłańskiej. Za trzy dni druga rocznica święceń.

W stolicy jestem od poniedziałku. Przyjechałem z O. Nazariuszem. Oj, ten poniedziałek! Z Musongati zabieramy kobietę z pięciomiesięcznym dzieckiem, by odwieść do szpitala w Gitega. Dziecko chore i zatrute lekarsztwami czarowników. Matka ma nadzieję, że go jeszcze w szpitali ulecą. Rozmawia z nami o swoim życiu. Jest to pierwsze jej dziecko. Ona katoliczka, mąż poganin. Poszedł do Tanzanii na zarobek. Została sama. W pewnym momencie naszej rozmowy jęknęła omdłym głosem, że dziecko się kończy. Odjechaliśmy zaledwie 10 km od Musongati. Zatrzymujemy samochód. Pytamy, czy chce, by dziecko było ochrzczone. Tak. Jakie imię? Stefania. O. Nazariusz udziela chrztu św. Dziecko kona. Stefania Nzeimana umarła. Imię murzyńskie Nzeimana, znaczy po naszymu „bym poznała Boga”. Dziecko poznało Boga.

Pierwszy raz mogłem przeżyć ból czarnej matki. Jęki, zawodzenia, wezwania, suchy płacz, błędne oczy matki i mała główka Stefanii, zapadnięta w szyi na czarnej piersi matki, jakby chciała powiedzieć: już wystarczy, już więcej nie będziesz mnie mamó karmiła.

Powrót do Musongati. Staram się zrozumieć ból matki w słowach kirundi. Zawodzi, że jest matką na nic, że pozwoliła umrzeć dziecku, że została sama, że już nie będzie czuła ciepła swojego dziecka na plecach, że sama zostanie w polu przy uprawie. Wszystko skończone, Boże, ojoj... ..

Matka ta sama w Afryce, ta sama w Polsce.

Kończę, bo trzeba brać samochód i zrobić zakupy w mieście. Wszystko niesamowicie drogie. Kilowy młotek kosztuje prawie 8 dolarów, co na polskie pieniądze można przeliczyć – 800 złotych. Nie łatwo!

Dziś na obiad zaprosiła nas jedna francuska rodzina wojskowa. Dobrzy to ludzie.

A co u Was? Nie mam listu od listopada.

Wszystkich pozdrawiam i pytam o wiadomości z domu i z Polski.

W Chrystusie i Maryi

syn i brat

Jaśko – O. Bartłomiej

Mpinga 17.06.1978 r.

„Kiedy ranne wstają zorze”

Najdrożsi Rodzice i Elu!

Tym razem chcę się z Wami spotkać przy wschodzie słońca, owianego chłodem srebrzystej rosy, witanego śpiewem ptaków, okadzonego dymem, który przedziera się przez murzyńskie strzechy. Dzień się budzi. I ja się budzę. Otwieram kaplicę. Rozpalam ogień w murzyńskim palenisku. Nucę „Kiedy ranne”, wspominam przysłowie Mamy: „Kto nie widzi rankiem słońca, temu smutny dzień do końca”. Myślę, że nie będzie smutny, bo wstałem zanim „słońce oczy rosą myje”. Jestem sam w kaplicy parafialnej w Kiharo od wtorku. Dziś mamy sobotę. W tej chwili przychodzi katechista i mówi, że są chrześcijanie i chcą spowiedzi św. W

czasie rannej Mszy św. mam ochrzcić 8 dzieci. Pewno rodzice ich chcą się przygotować i pojednać z Panem. W więc przerywam i idę do moich kapłańskich obowiązków.

Bujumbura, 19.06.1978 r.

Jak widzicie, ostatnio nie mogę zagrzać miejsca w domu. Poniedziałek spędziłem na budowie w Kigu. Wziłem piasek i żwir. Do Mpinga wróciłem wieczorem. Zaraz rano we wtorek, z O. Nazariuszem wyruszyliśmy do stolicy. Dziś, tj. w czwartek wracamy do domu, do Mpingi. Mamy jeszcze trochę rzeczy do kupna. Wszystko drogie, np. słoik śledzi marynowanych kosztuje 610 franków, siekiera 780 – równa się to naszym złotym w Polsce.

Idę na ranne modlitwy i celebrować Mszę św. Dla wszystkich Piotrów i Pawłów przesyłam życzenia. List wysyłam do Was, może dojdzie.

Zostańcie z Bogiem!

Shembe, 24.06.1978 r.

„Oj przeleciał ptaszek kalinowy lasek”.

Ja już drugi tydzień jestem sam poza domem misyjnym. Jestem w kaplicy parafialnej w Shembe. Przyszedłem tu w czwartek. Kaplica zbudowana z suszonej cegły, przykryta blachą, tak samo dom księdza. Koślawy stół i stołek, łóżko uplecione z afrykańskiej wikliny. Kuchnia zbudowana z bambusu, przykryta trawą. Za piec służą trzy kamienie i dno z beczki. Gotuję sam dwa razy dziennie, bo pali słońce. Jem prawie to, co Murzyni, tylko pomaszczone i osolone. Ich nie zawsze na to stać. Rano gotuję papkę z nasienia podobnego do prosa. Raczę się zielonymi bananami pieczonymi w ogniu. Na zachciankę robię naleśniki. Wieczorem zaś zielony groszek z jarzynami i murzyńskie piwo. Nie narzekam i źle nie wyglądam.

Dziś sobota. Rano w czasie Mszy św. ochrzciłem jedno dziecko. Potem jest pytanie dzieci katechizmu, aż do godz. 13.00. Koło godz. 14.00 wszyscy się rozchodzą, a ja idę się „buchnąć” na chwilę. Ktoś puka. Kto tam? To ja – słyszę odpowiedź. Przychodzą mnie odwiedzać. Przynoszą trochę grochu, trochę orzeszków ziemnych, jajko, szczyptę ryżu. Dostają ode mnie to różaniec, to łańcuszek z medalikiem, lekarstwo, jakąś szmatkę do ubrania. Tak się wzajemnie wspomagamy. Aż do zachodu słońca ktoś przychodzi, prosi spowiedź, o lekarstwo. Po zachodzie słońca zostaję sam jeden z Panem w kaplicy. Zamiatam koło domu i kuchni, bo jutro niedziela. Dzieci nanosiły mi drzewa, wody, nałuskały groszku. Nastawiam groszek do gotowania i idę na wieczorną modlitwę. Już wieczorem przychodzi mój sąsiad Zachariasz ze swoim synem. Prawie kolacja, więc trzeba poczęstować groszkiem i kromką chleba. Siedzimy prawie do godz. 21.00. Odprowadzam ich kawałek, bo tak każe burundzki zwyczaj i znów zostaję sam z tym listem na stole.

Nie wiem, jak dziękować za serdeczne przyjęcie Księdza Biskupa Ruhuny i za uściski jakie mi przekazał. Był urzeczony serdecznością i bezpośredniością Waszego przyjęcia. Mówi mi, że Mama nic, natomiast Tata trochę ubolewa nad moją nieobecnością. Widział też Staszka. Podobał się domek i rzeka naprzeciwko. Nigdy sobie nie pomyślałem, że mój biskup

będzie w progach naszego domu. A to trzeba zawdzięczać O. Teofilowi z Gierałtowiczek i mnie (nie chwaląc się), bo gdyby nie było „Jaśka”, nie byłoby „Murzyna”.

Z Bogiem! Bo jutro dwie Msze św. i kazanie czytane z kartek, a potem dwie i pół godziny wspinaczki na nogach.

25.06 – niedziela

Zakończyłem moje apostołowanie w kaplicy misyjnej w Shembe. Po drugiej Mszy św. szukam 4 chłopców, by mi pomogli zanieść rzeczy do następnej kaplicy na górze w Kiguhu. Ja co mogłem, wziąłem do plecaka, gdzieś koło 10 kg. Oni ładują skrzynie na głowy i wyruszamy.

Z doliny Shembe do Kiguhu wspinamy się przez 2,5 godziny. Uparte słońce piecze niesamowicie. Ani kropli deszczu, ani kawałka cienia. Pot zalewa oczy. Krok za krokiem wspinamy się do góry. Krocę z tyłu za moimi pomocnikami. Bez przesady, to nie poezja, ścieżka zroszona kroplami potu. Na zboczach błyszczą wiotkie figury hebanowego koloru, złane potem moich czterech przyjaciół. Wreszcie dochodzimy. Po drodze dzielimy kawałek chleba, jaki mi został i popijamy piwem z sorga. Cieszę się, że mogę choć odrobinę zakosztować murzyńskiego życia.

W Kigahu zastaję Murzyna, który mi przygotował wieczorny obiad: zupa z proszku, groch z ziemniakami, kawałek kury w sosie własnym. Zjadło się! Spędziłem tu noc. Jutro O. Sylwan przywiezie murarzy, bo budujemy tu dom dla Sióstr Czarnych, więc powrócę wieczorem samochodem do Mpingi.

Przy lampie naftowej (furmańska) oczy się mrużą, więc pozostaje mi jeszcze modlitwa różańcowa i spoczynek, którego mi w Burundi nie brakuje. Życie jest bardziej naturalne, więc nie muszę się spieszyć.

Zostańcie z Bogiem do przyszłego razu!
syn – i brat, Jaśko – O. Bartłomiej

Mpinga – Kiguhu 5.12.1978 r.

+ Siostru Elu!

Chrystus niech będzie z Tobą. Nie myśl, że zapomniałem o Twoich Imieninach. Tak samo nie zapomniałem o Imieninach Mamy. Zapomniałem tylko napisać. Pamiętam o Was przed Panem. Do tej chwili byłem przekonany, że Twoje Imieniny, to dziś we środę. Rano odprawiłem Mszę św. o św. Elżbiecie, w Brewiarzu odprawiłem modlitwy o Tej Świętej. Na podwieczorek kazałem zrobić naleśniki z dżemem, by tak uczcić Twoje imieniny. A to wszystko należało zrobić wczoraj. Nie dziw się, ale już zmurzyiałem i daty się bardzo w moim życiu nie liczą.

Jest noc. Godzina 10 wieczór. Wróciłem od robotników, którzy wypalają cegłę. Jestem w Kiguhu od poniedziałku. Razem z Murzynami tniemy drzewo i podwożę do pieca. Nie mam żniw, ale roboty mi nie brakuje, za co dziękować Bogu.

Ten niby „imieninowy” wieczór spędziłem z palaczami. Zjadłem z nimi kolację: groch okrągły na wodzie wymieszany ze słodkimi bulwami jakiejś rośliny, posolony, do popicia dobre piwo ze sorga.

Rozmawiamy o wielu rzeczach, o ziemi, o księżycu, o gwiazdach, bo nam migocą. Pytają co mu w Europie uprawiamy, co jemy. Wypytyują o Was, o Rodzinę. Dobre chłopcy, dlatego tak chętnie spędzam moje wieczory razem z nimi. No, ale czas przejść do życzeń.

Elu, jeżeli mam się powtarzać w moich życzeniach, to przede wszystkim w jednym – by Pan był z Tobą, a Ty z Nim! Nie lękaj się, że jesteś samotnym człowiekiem rzuconym w pechowy świat. Zapewniam Cię, że choć jestem daleko, jestem z Tobą, bo jesteś moją siostrą. Nie myśl, że jesteś sama. Masz brata Jaśka.

Powrócę do tego listu, by zakończyć. Teraz muszę iść spać, bo jutro czekają inne drzewa do ścięcia i do zwózki. Ciało, baj!

Mpinga – poniedziałek 10.07.1978 r.
godz. 6 rano

Jutro ma jechać jedna z Sióstr na wakacje, więc chcę, by mi zabrała ten list. Mamy Ojca z Rzymu, który przyjechał nas odwiedzić.

Zbieram groch, kopię ziemniaki. Tego roku zbiory marne. Bo pora sucha przyszła za wcześnie. Nie będziemy głodowali.

Wszystkich pozdrawiam i całuję
syn i brat
Jaśko – O. Bartłomiej

List O. Nazariusza do Rodziców:

J.M.J.T.

Mpinga – Gatara 15.06.1978 r.

Kochani!

Gdybym nie spojrział do notesu, w którym zapisuję swoją korespondencję, za nic w świecie nie uwierzyłbym, że ostatni list napisałem przed dwoma miesiącami. Obszerny list. O ile sobie przypominam, posłałem jeszcze w międzyczasie, ale na pewno w maju. Podobnie jak kiedyś, w ubiegłym roku, rozgrzeszyłem się tym, że ktoś, z tych którzy pojechali na wakacje odwiedzi i opowie nieco więcej. Tymczasem ksiądz biskup już powrócił z Polski, ale do Was nie wpadł. Tłumaczył się brakiem czasu. Był tylko 8 dni w Polsce. Może O. Teofil wraz ze Szwagrem tam wpadli? Byłbym szczęśliwy, gdyby tak było.

No więc trzeba wreszcie zabrać się do tego listu. Dawno nie pisałem i nie wiem od czego zacząć. Chyba od tego, że jestem zdrowy i że przez ten czas również byłem zdrowy. Ewentualne obawy o choroby były więc płonne. Na samopoczucie nie narzekam. Dodatkowym powodem dobrego samopoczucia jest to, że dwa latka za nami. Pozostało

jeszcze sześć miesięcy tego roku i ileś tam miesięcy przeszłego. Ale to tylko miesiące. Zlecają tak jak inne. Cierpliwości i wytrwania. To takie życzenia, które samemu sobie ślę.

W tym roku pojechał na wakacje jeden z naszych braci – br. Marcelli. Pojadą również O. Jan Kanty, O. Sylwan oraz jedna siostra – Zygmunta. Parę dni temu pojechała s. Bernarda – szarytka, która zajmuje się trędowatymi w naszej diecezji. Burundi będzie więc reprezentowane dobrze w tym roku.

Co nowego wydarzyło się od mojego ostatniego listu? (Aha!) Bóg zapłać za list wysłany w połowie maja. Dostałem go 29 maja.

Był to okres pół świąteczny. Nic więc dziwnego, że tempo pracy nieco zelżało po wielkopostnych rekolekcjach. To nie znaczy, że nie pracowaliśmy. A więc obsługa terenowych kapliczek i szkółek. Ja byłem dwa razy (teraz trzeci). Byłem w szkółce o nazwie Kiharo oraz w Mutaha.

Kiharo położone jest około 22 km od Mpingi, licząc za drogą. W linii prostej schodzi się dość stromo około 2 godzin. To tam, gdzie w Niedzielę Palmową potężna ulewa przerwała mosty i gdzie zostawiwszy samochody wracaliśmy na nogach do domu. Nazajutrz byliśmy trzecim samochodem i przeciągaliśmy po prowizorycznych mostkach. Ale o tym już pisałem. Powtarzam się. Starość nie radość.

Kiedy pojechałem tam, mostki były jeszcze nie zreperowane. Zostawiłem więc samochód u kogoś i podreptałem do szkółki. Było tam fajnie. Nie powiem. Co prawda nie można było specjalnie włączyć się w terenie, z powodu deszczu, ale wolnego czasu nie marnowałem. Przecież człowiek potrzebuje przeczytać jakąś książkę, nieprawda? Idealny czas na to. Oczywiście nie cały dzień. Tylko po południu i wieczorem. W nocy gorsza sprawa. Komary. Zacięte, złośliwe, bezwzględne bestie. Właśnie wtedy zapomniałem wziąć ze sobą moskitiery (siatka, którą zawiesza się nad łóżkiem). Wyczuły to dranie. Nie dawały spać. Czasem do północy. W końcu wyciągnąłem jakiś bandaż i owinąłem głowę. Ale wyglądałem. W ten jednak sposób dałem radę komarom.

W Kiharo uczestniczyłem na zebraniu przedstawicieli tamtejszych chrześcijan. Takie zebrania są teraz tu modne. Biorą w nich udział ci, którzy zostali wybrani przez chrześcijan w poszczególnych wioskach. Byli więc mężczyźni, kobiety, dziewczęta, chłopcy; reprezentanci wiernych, organizacji kościelnych itp. W sumie około 40. Na ogół w czasie takich zebrań omawia się najważniejsze problemy wspólnoty, radzi się jak ożywić wiarę i dobre obyczaje.

Rola kapłana w tym wszystkim? Przede wszystkim wysłuchać. Wcale nie łatwo, bo i język, bo i długo (2,5 godz.). W końcu trzeba zabrać głos i podsumować dyskusję. Wyciągnąć wnioski, wskazać na pewne mankamenty w życiu wspólnoty chrześcijan, udzielić rad i wskazówek. Zrobiłem więc to i wydaje się, że byli z tego zadowoleni.

Dwa tygodnie temu byłem w innej szkółce – w Mutaha. Trzeba dojechać do Kiharo, a stamtąd jeszcze 15 km. W sumie z Mpinga – 37 km. Jest to bardzo mały succursale. Liczy zaledwie kilkanaście rodzin, z tych zaś praktykujących zaledwie kilka rodzin. Jest to szkółka typowa dla tego regionu, pogrążonego w pogaństwie. Typ ludzi nieco inny niż wewnątrz kraju. Ludzie tamtejsi bardzo szybko zniechęcają się do chrześcijaństwa, które zakazuje pijaństwa i poligamii (poligamistów tam bez liku).

Cała nadzieja w dzieciach. Uczęszcza ich do katechumenatu dość sporo. Nie wszyscy wytrwają do końca, wielu odpada w czasie nauki, wielu porzuca wiarę po chrzcie. Ziarno jednak jest zasiane i wierzymy, że Pan da wzrost, jak nie teraz, to później. Jest to teren

naprawdę misyjny, taki, o jakim się czyta nieraz w książkach o misjonarzach dawnych czasów. Marzymy o jego Ewangelizacji. Przymierzamy się jak możemy. Na razie to, co ja sam mogę, to obecność. No więc kiedy tam byłem, kilka razy wybierałem się w teren (deszcz już nie pada). Podjeżdżałem samochodem, bo dystanse duże. Skupisko o nazwie Gikenko. Położone tuż na granicy z Tanzanią. Dużo ludzi. Chrześcijan – dwie rodziny, które już od dawna nie praktykują. Nie ma szkoły. Kiedyś była, ale katechista zaniedbał, w końcu sam wziął drugą kobietę i sprawa skończona. Ze szkoły zostały ruiny, a z wiary – wspomnienia. Zaglądam tu i ówdzie. Sporo dzieci. Jakby je tak zebrać? Idę dalej. Plac zabaw. Kilkunastu młodzieńców z dzwoneczkami na nogach, kilkanaście półnagich dziewcząt z gwizdkami w ustach. Tańczą taniec Mosa. Wartki, rytmiczny taniec. Tumany kurzu. Robię parę zdjęć. Spotykam nowego szefa. Pochodzi z Mpinga. Został tu mianowany niedawno. Łączymy z nim pewne nadzieje. Mówię mu o szkółce. Jest jak najbardziej za nią. Podsuwam więc myśl: „Weź trochę ludzi, zbuduj, zobaczymy? Jak będzie dużo dzieci i będą się wytrwale uczyć, może postawimy jakąś lepszą. Na razie taka wasza: z bambusów, oklejona błotem, pokryta trawą! Zgoda?” Przytakuje. Pomyślcie o tym – mówię na odchodne – katechistę wam damy.

W ten sposób pierwszy krok zrobiony. Trzeba teraz położyć rękę na pulsie i sprawy dopilnować. Przypomnieć, w jakiś sposób pomóc.

Jadę do innej wioski. Nazywa się Rubanga. Obszerne skupisko ludzi, tuż u podnóża masywu górskiego, na którym leży Mpinga. Kiedyś była tu kaplica pomocnicza jak w Kiharo czy Mutaha. Coś tam się popsuło i kaplicę zlikwidowano. Pogrzebano razem z tym i chrześcijaństwo. Było około 30 rodzin chrześcijańskich. Aktualnie praktykują tylko trzy! Reszta?

Do najbliższej kaplicy mają 8 km. Twierdzą, że za daleko. Co zrobić? Trzeba chyba przyjść do nich. Powoli oczywiście. No więc na początek mała szkołka katechetyczna. Zapisalem 34 dzieci. Nie tylko. Matka z dzieckiem, kilku młodzieńców, dwie czy trzy panny. Kiedy zachodzę do szkoły jest 22. Inni nie przyszli. Witam się z wszystkimi osobno. Podają ochotnie dłonie. Ha! to już coś. Wszczynam rozmowę. Pytam o wiadomości z domu, o zdrowie. Powoli przechodzę do katechizmu. Pytam, podpowiadam, słucham odpowiedzi. Ot, coś jak pogawędka o Bożych sprawach. Tak przez pół godziny. W końcu sam czuję się zmęczony. Krótka modlitwa „Ojcze nasz” i wychodzimy na zewnątrz. Zapraszam do grupowego zdjęcia. Jeszcze chwila, parę słów i do zobaczenia w niedzielę. Przyjdziecie – mówię – dostaniecie witaminy (dobre jak cukierki). Miałem wam dać dzisiaj, ale zapomniałem! Pa! Nagasaga! Tuzobonana ku musi w Imana. Wracam zadowolony, z przekonaniem, że i tam Słowo Boże już zapadło i kiedyś wyda plon dobrych uczynków. Choćby nawet dwukrotnie. Panie! To już będzie coś.

W Moso jest gorąco. Więcej. Jest po prostu upalnie. Podróże, choćby samochodem – męczą, a przy tym suszą. Trzeba więc dużo pić. Dużo wody. Do trzech litrów dziennie. Jak smok wawelski! Co?

Orzeźwiłem się trochę, więc mogę kontynuować opowiadanie i podróże. Wybieram się jeszcze do innej miejscowości, którą wtedy odwiedziłem. Osiedle o nazwie Gatoga. Z Mutaha tylko 16 km. Piaszczysta droga. Można by tu urządzić rajd Safari. Sam próbuję. Osiągam tylko 90 km/godz. Droga kończy się. Teraz trzeba przedzierać się wąską ścieżką. Na szczęście nie ma kopców termitów. Choć wąsko i nic nie widać z powodu wysokiej trawy, dojeżdżam do samej szkoły. Szkołkę zbudowali w ubiegłym roku. Zbudowali sami. Nieduża,

odstłonięta po bokach. Byłem tu przed Wielkim Tygodniem. Jako pierwszy. Wówczas drałowałem z Shembe na nogach. Tylko 8 km. Dzieci nie wiedziały jak się zachować. Były sztywne i nierozmowne. Dziś ich nie ma w szkółce. Jest sobota. Jadę więc ich szukać. Do pierwszej zagrody wchodzę w towarzystwie kilku napotkanych młodzieńców. Witam się z wszystkimi. Kilkoro małych dzieci, grupa chłopców, którzy popijają piwo. Nie zatrzymuję się przy nich, bo nie chcę pić tego piwa. A gdy poczęstują nie wypada odmówić. Zatrzymuję się przy dzieciach. Daję im przywiezione witaminy. Nie wiem, czy dowierzają w ich faktyczną moc, ale biorą. Matki też. Przyglądam się bliżej dzieciom. Duże brzuszki. Pewnie kwasiorok – taka choroba płynąca z niedożywienia. Na szyi jednego z nich plik amuletów. Mają go chronić przed chorobami, przed złym wpływem przodków. Jest więc spiralnie wygięta miedziana blaszka, kilka muszelek i ... malutkie kozie kopytko. Nie pytam o zastosowanie poszczególnych amuletów, bo i tak nie powiedzą. Mówię tylko matce, że byłoby lepiej za te amulety kupić jakąś szmatkę dla dziecka.

Idziemy dalej. Zlatuje się trochę dzieci. Odwiedzam jeszcze kilka zagród. Wiele dzieci mnie poznaje. Dostają witaminy. Dochodzimy prawie do samej granicznej rzeki. Z drugiej strony Tanzania. Pytam dzieci o nowiny w szkółce. Dobre nowiny – odpowiadają. Kilkanaścioro zdało właśnie pierwszy egzamin (egzamin unieważniony, bo katechiści nabrali O. Bartłomieja i zrobili o miesiąc za wcześnie). Dzieci jednak o tym nie wiedzą. Pod koniec czerwca będą powtarzać. Zresztą z katechistami są czasem kłopoty. Pytałem właśnie o podręczniki do nauki czytania. Mówią, że mają wszyscy, ale, że są za drogie. Jak to – pytam. Przecież 10 fr. to wcale nie majątek. Widzę zdziwione miny. Myśmy kupowali po 15 fr. – odpowiadają. U kogo? – pytam. U katechisty Gaspara. No tak. Przypominam sobie, że jak byłem w Shembe, kupował u mnie kilkanaście książeczek do czytania, ale po 10 fr. Na każdej zarobił dziad 5 fr. Oberwie za swoje, bo zgłosiłem to O. Proboszczowi. Żeby się dorabiać na biednych dzieciach?! Wstyd! Ma co prawda sporo roboty z tymi dziećmi, bo jakby nie było jest ich tam ponad 70, ale przecież to nieuczciwość. Jest już sporo czasu po południu, kiedy wracam do Mataha. Po drodze spotykam grupę mężczyzn, którzy skończyli pracę społeczną (ubumwe).

Dziś, gdy piszę ten list, jestem w szkółce o nazwie Gatara. Przypominacie sobie chyba tę nazwę. Przed przeszło rokiem, pod koniec kwietnia miałem tu moje pierwsze safari. Pisałem wam o małym, walącym się domku, o tym, że trzeba przesunąć miednicę, bo przecieka. Ha! Dawne czasy! Można wspominać o tym z łezką w oku. Dziś w tym miejscu stoi okazały katechumenat wraz z pomieszczeniami dla księdza i boya. Budynek ma 26 m z kamienia, kryty eternitem. Okno z prawdziwego zdarzenia, w klasach eleganckie ławki. Opłaciło się to wybudować, bo teraz o wiele więcej katechumenów. Rano np. byłem w klasach: na pierwszym roku obecnych 45 (ponad 30 nieobecnych), w czwartej klasie 31 (około 20 nieobecnych). Także w niedzielę tu gwarno. Od kilku miesięcy działa młodzieżowa organizacja kościelna Chiro (liczy 65 członków). Starsi chcą założyć Legion Maryi. Coś się dzieje, choć i problemów nie brakuje.

Co słyhać poza tym u mnie? Choć jestem w przysłowiowym buszu, staram się śledzić to, co się dzieje w świecie. Dobre radio pozwala słuchać dziennika, zwłaszcza po francusku, nieraz po polsku, ale nie z Polski. Podobnie jak wy tam, w Polsce, śledzę rozgrywki w piłkę nożną w Argentynie. Wiele meczów słucham bezpośrednio z Argentyny. Zmartwiła mnie porażka Polaków z Argentyną (0:2). Teraz już nie wierzę w żaden ich medal.

Przed trzema tygodniami nasze domowe gospodarstwo pomniejszyło się o jedną...świnę. Tak. Bez żartów. Chowaliśmy przez kilka miesięcy, by w końcu posłać ją pod nóż. W ten sposób mieliśmy okazję jeść kaszanę, pasztetówkę, salceson, galaretki, golonkę, polską kiełbasę z tutejszej świnki. Jest też słonina, boczek, szynka. A więc to wszystko, o czym człowiek marzy od czasu do czasu, popuszczając łezkę z tęsknoty. I wyobraźcie sobie: siedzę sobie w Gatarze i na śniadanie, na podwieczorek, zjadam nie co innego niż wspaniałą, aromatyczną suchą kiełbasę. Co? Leci wam ślinka?

Możliwe, bo przecież od Wielkanocy minęło parę ładnych miesięcy i na pewno się skończyła. A ja jeszcze mam. Dzięki Bartkowi. Przygotował znakomicie.

Przy okazji, skoro o tym mowa, podsunąłbym myśl, by ktoś od czasu do czasu posłał coś takiego pocztą lotniczą – o ile to wszystko jest możliwe (nie znam aktualnych przepisów celnych).

Kochani! Rozpisałem się szeroko w tym liście. Może za mało pisze o sobie. Wierzę mi, że pisząc o innych, o ich sprawach, o ich życiu, piszę i o sobie. Jestem przekonany, że w ich życiu zawiera się częśćka mojego.

Pyta Mama, czy dostaję listy od innych z Polski? Czasami. Niektórzy piszą, nie czekając na list ode mnie. To mnie cieszy. Inni są bardziej powściągliwi. Napisałem, odpowiedzieli. Koniec. Czekają na następny list, ale ja postanowiłem czekać na wiadomość od nich. Inni jeszcze nie raczą odpowiedzieć na wysłany przez mnie list. Być może nie dostali go. Mniejsza o to. Jedno powiem – każdy list to coś bardzo radosnego i dlatego niecierpliwie czekam. Przypominam sobie pierwsze trzy miesiące, jakie przyszło mi spędzić poza granicami bez wieści z kraju. Było to przykre przeżycie. Dlatego też bardzo współczuję Bartkowi, który nie ma wiadomości z domu od 7 miesięcy. Przepraszam – nie ma listu od tyłu miesięcy. Na pewno listy giną, bo trudno przecież posądzać rodzinę o takie okrucieństwo. Na szczęście ksiądz biskup był u niego w domu i przywiózł mu wieści z pierwszej ręki. Ucieszył się bardzo.

Dlatego serdecznie dziękuję Wam za listy. Mam wrażenie, że poza pierwszym listem, wszystkie pozostałe do mnie dotarły i to w dobrym stanie, nieraz ze zdjęciami. Bóg zapłać. Nie gniewajcie się, gdy czasem się nieco zapóźnię i połknę po drodze jakiś dodatkowy miesiąc, jak się to stało ostatnio.

Czekam na wiadomości od Was. Jak zdrowie? Co w Targanicach? W parafii?

Kończąc, załączam serdeczne pozdrowienia dla Wszystkich razem i każdego z osobna. Szczególnie serdeczne życzenia Rodzinie.

Z zapewnieniem o pamięci przed Panem polecam się Waszym modlitwom

O. Nazariusz
Karmelita Bosy
misjonarz w Burundi

Listy O. Teofila Kapusty:

Kraków, sierpień 1978 r.

+ Drodzy Przyjaciele!

Wspaniałe są polskie Tatry, Karpaty, Beskidy...Cóż z tego? Mnie śnią się płowe wzgórza Burundi, podobne teraz, w okresie suszy – do skóry gazeli. Nacieszyłem oczy makami wśród zbóż łąnów, lecz we śnie jawią mi się wzgórza strojne bananowcami. Śliczne są polskie brzozy o słońca zachodzie. Śliczniejsze jeszcze, gdy je oglądam, dłoń Przyjaciela trzymając. We śnie jednak powiewają mi eukaliptusów warkocze.

Nacieszyłem serce spotkaniami z Rodziną, z Przyjaciółmi. We śnie jednak widzę zatroskane twarze ojców i matek, obliczających na wzgórzach Burundi, czy wystarczy do nowych zbiorów manioku dla głodnych dzieci gromadki. Nic dziwnego, że zatroskane. Pisano mi przecież, że w tym roku pora sucha przyszła o miesiąc za wcześnie, że groch i fasola wyschły przed zarośnięciem.

Przede wszystkim jednak śnią mi się zatroskane oczy Współbraci – karmelitów bosych – i moich Sióstr – karmelitanek Dzieciątka Jezus – pracujących w Burundi. Cóż dziwnego, że zatroskane? Pisano mi przecież, że epidemia cholery śpieszy buszu ścieżkami i łupy zbiera nieubłagane. Pisano o 19-tu zgonach, później o 570 zachorowaniach. To były wieści sprzed miesiąca.

I cóż dziwnego, że „śnię się”? Przecież na nowo trzy lata jestem jakoś za nich odpowiedzialny. Kończą się moje wakacje. Za dwa tygodnie będę w Burundi. Zapewne wtedy śnić mi się będzie Giewont, Kasprowy, Gubałówka, Gąsienicowa Hala, brzozy i zbóż łąny, śnić mi się będą Wasze oczy i serca Wasze, wciąż o nasz los zatroskane, wciąż czujne, ofiarnie współpracujące.

Obawiam się, że ze względu na epidemię cholery nie będę mógł zaraz napisać z Burundi (przepisy pocztowe). Dlatego korzystając z uprzejmości Sekretarza Misji Karmelitańskich (O. Bronisława Tarki, ul. Rakowicka 18, 31-510 Kraków), przesyłam Wam, Drodzy Przyjaciele, słów kilka z serdecznymi pozdrowieniami, z zapewnieniem pamięci w modlitwie, z serdeczną wdzięcznością i z przeproszeniem, że nie dotarłem do Was w czasie mojego urlopu, choć obiecałem nawet.

Nie udało się, Kochani, chociaż tak dawno wyjechałem z Burundi i chociaż tak bardzo chciałem. Dlaczego „nie udało się”? Jak wiecie, przyjechałem na urlop przede wszystkim, by „remontować” nadszarpnięte zdrowie. Miesiąc kwiecień spędziłem w Linzu (Austria) w szpitalu dobrych Sióstr Elżbietanek. Badania i udana operacja. Później miała być rekonwalescencja, ale spieszyłem się do kraju, bo w miesiącu maju wpadł do Polski na 8 dni Ks. Bp Joachim Ruhuna. Towarzyszyłem mu w wędrowce po naszej Ojczyźnie. Później nieco zaniedbałem rekonwalescencję. W czerwcu brałem udział w obradach Kapituły Prowincjalnej. Wreszcie lipiec poświęciłem na leczenie zębów. W „wolnych chwilach” mogłem wpaść do rodzinnego domu. Mam przecież Rodziców, mam Rodzinę. Tylko niewiele chwil mogłem poświęcić Wam, Drodzy Przyjaciele. Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie!

Pozostało jeszcze sprawdzenie wzroku, szczepienie cholery i załatwienie wizy.

W sumie jednak wakacje były udane. Główny cel, Bogu dzięki, został osiągnięty. Po remoncie czuję się zdrowo.

Zimna wiosna i deszczowe lato nie wyciągały mnie w góry, pozostało zatem trochę czasu na spokojne rozmowy z Bogiem i ludźmi...

Co w tym czasie działo się w Burundi?

Jak wspomniałem, przyszła wcześniej susza i przyszła epidemia cholery.

W Mpinga: Przerwano na jakiś czas budowę domu rekolekcyjnego, bo udało się „znaleźć” Siostry Bene – Tereziya, gotowe zamieszkać i pracować na stacji misyjnej w Kigu. Buduje się zatem dla nich dom i szkołę gospodarczą. Równocześnie wypala się cegły na dwu stacjach misyjnych.

W Musongati: Br. Marceli, po założeniu fundamentów pod ośrodek zdrowia, przerwał pracę i wyjechał na zasłużony odpoczynek do Polski. Wraca ze mną. Spodziewa się, że zastanie w Musongati wiele zgromadzonych materiałów budowlanych. Obawiam się, że ta nadzieja zostanie trochę zawiedziona, bo O. Józef – jak słyszę „chodzi” – koło wymarzonej turbiny.

W pierwszych dniach lipca nasze misje w Mpinga i Musongati odwiedził O. Adeodat Micallef, Sekretarz Generalny misji naszego Zakonu.

W lipcu S. Zygmunta Kaszuba przyjechała do Polski na bardzo zasłużony i konieczny wypoczynek. Martwi się o swoich chorych, ale przecież zastąpi ją doskonale S. Łucja Dąbrowska.

Poza tym była codzienna troska duszpasterska, a w tym czasie szczególnie: egzaminy katechumenów, pierwsze i uroczyste Komunie św., Chrzest dorosłych, Bierzmowanie około 500 osób, itd...

Była jeszcze inna troska i przeżycie, które głośnym echem odbiły się w moim sercu, bo jakoś szczególnie mnie dotyczyły, bo zrodziła je „moja wina”.

Jesienią ubiegłego roku, nie wpuszczono do Burundi wracającego z urlopu bpa Józefa Martin. Dlaczego? Różnie na ten temat mówiono. Nikt jednak nie podał oficjalnego wyjaśnienia.

W Adwencie, w homilii do słów św. Pawła Apostoła: „Przez Niego (Jezusa Chrystusa) otrzymaliśmy łaskę i urząd Apostolski, aby ku chwale Jego imienia pozyskiwać wszystkich pogan dla posłuszeństwa wierze...”¹, mówiłem, że Apostoł nie może głosić siebie, aby się ludziom podobać, lecz powinien głosić Jezusa Chrystusa, nie może głosić wybranych zdań z Ewangelii, lecz całą Ewangelię, choćby się to komuś nie podobało, choćby go miały spotkać prześladowania. Wszystkich prawdziwych i wielkich apostołów spotkały prześladowania. Przewidział je Chrystus: „Jak mnie prześladowali, tak i Was prześladować będą...”, Prawdziwych apostołów i dzisiaj spotykają prześladowania. Przykładów nie musimy szukać daleko. Biskup Martin głosił Ewangelię, głosił prawdę, przeszedł przez Burundi dobrze czyniąc. Utrudzony apostolskim posługiwaniem złożył urząd biskupi i podał pracę w parafii jako wikary. Za prawie 50 lat pracy, jakiej pragnął nagrody? Wyraził to w słowach: „Tak, Was, Burundczycy, kocham, że pragnę do końca moich dni pozostać z Wami, pragnę wśród Was być pogrzebany i razem z Wami zmartwychwstać...” tymczasem jak mu odpłacono? Na granicy usłyszał: Nie masz wstępu! Idź, gdzie chcesz!

Później dowiedziałem się, że bp Martin został wyrzucony za to, że nie wytrzymał i w jednym kazaniu mocno wystąpił przeciw niektórym pociągnięciom nowego rządu. Rząd ten, właśnie jako „nowy”, nie umocniony, mocno zareagował na słowa krytyki. Wiadomo zresztą,

1 Rz. 1. 5-6

że bp Martin ma cięty język. W czasie mojego kazania o wystąpieniu biskupa Martin nie wiedziałem.

O moim kazaniu doniesiono samemu prezydentowi i po moim wyjeździe na urlop zdecydowano, że nie będę mógł wrócić do Burundi.

Przy okazji całej naszej grupie polskich karmelitów zarzucono rasizm. Nie trudno znaleźć argumenty. Przypomniano sobie, że kiedyś pomogliśmy w ucieczce na granicę osobom, którym groziła niewinna śmierć, że kiedyś nie zechcieliśmy prowadzić budowy domu dla rodziny bogacza z Bujumbury, że pomogliśmy w budowie domu wdowie po zamordowanym katechiście, że przy rozdzielaniu żywności dla głodujących nie uwzględniliśmy nieuzasadnionych pretensji bogaczy z plemienia rządzącego, a wspomagaliśmy biedaków z drugiego plemienia, że...Ileż można nazbierać „dowodów”? Całej grupie grożono wyrzuceniem z Burundi.

Na szczęście, administracja terenu (coś w rodzaju powiatu) pominęła zarząd okręgu (coś w rodzaju województwa) i skierowała zarzuty wprost do stolicy, nawet do samego prezydenta. Nasz wojewoda „wściekł się”, bo taki despekt, takie pominięcie! On pan tego terenu pierwszy powinien wszystko wiedzieć! Zaczął więc na nowo badać sprawę. Trzeba przyznać, że posiada odrobinę uczciwości. W rezultacie uznano zarzuty przeciw karmelitom za przesadzone, a O. Teofilowi postanowiono przebaczyć. Nie było jednak wiadomo, czy to przebaczenie sięga tak daleko, że O. Teofil będzie mógł wrócić do pracy. Ostatnie wiadomości mówią, że tak, więc wracam.

Niektórzy z Was, Drodzy Przyjaciele, pytają mnie: „Dlaczego wracasz? Przecież widzisz jacy oni są, za takie głupstwo chcieli cię wyrzucić? Czy będziesz mógł głosić całą Ewangelię?...”

No, cóż, Kochani, po ludzku sądząc, może i jestem podobny do uderzonego w twarz, który na pytanie kolegi: „Coś ty! Na taką zniewagę nie reagujesz?!” – odpowiedział: „Jak to nie reaguję? Nie widzisz jak puchnę?!”. Jest jednak jeszcze inny wymiar! Jest nakaz naszego Mistrza: „Kiedy uderzy cię ktoś w jeden policzek, nastaw mu i drugi...”, „Miłujcie nieprzyjaciół Wasze...”. Czy ja wiem? Może w moim życiu tylko o to chodzi, bym wiernym w Burundi pokazał, że nie puściłem mimo uszu tych nakazów Mistrza? Może takie świadectwo komuś bardzo pomoże?

Zresztą, jeżeli nawet ktoś mnie nie chce widzieć w Burundi, to kto? Czy wierny, prosty lud? Nie! Więc wracam!

Chcę wracać, „albowiem miłość Chrystusa przynagła nas”², albowiem tam „żniwo wielkie, a robotników mało”, bo tam są parafie rozległe, liczące do 60 tysięcy wiernych, obsługiwane przez dwu tylko kapłanów, bo tam są liczne rzesze wiernych bardzo wyczekujące pomocy duchowej i materialnej, rzesze pozostawione jak owce bez pasterza...

Pomódlcie się za mnie gorąco, bym umiał głosić życiem i słowem całą Ewangelię, która jest prawdą o Miłości, o tej miłości, która wszystko zniesie, która niczym się nie zraża, która umie przebaczać...

Módlcie się, by w nas w misjonarzach było coś z tej mocy, która pozwala św. Pawłowi otrząsnąć się z kamieniujących go kamieni i wrócić do miasta³, która pozwalała mu trwać w „niebezpieczeństwach śmierci, w niebezpieczeństwach od zbójców... od własnego narodu... od pogan, od fałszywych braci... w pracy i umęczaniu, w głodzie i pragnieniu...”⁴

Wierzę, że pamiętacie o nas w modlitwach, że będziecie szczególnie pamiętać z okazji światowego Dnia Misyjnego, kiedy to sprawa misji staje się bliska sercu każdego katolika. Nie spodziewam się napisać listu przed tym dniem. Dlatego już dzisiaj z okazji Światowego Dnia Misyjnego pragnę Wam przesłać bardzo serdeczne podziękowanie za Wasze modlitwy, za ofiarowane cierpienia i trud codziennej pracy, za Wasze ofiary. Bardzo bezradne są słowa! Nie potrafię wyrazić naszej wdzięczności za Wasze ofiary, które za pośrednictwem naszego oddanego i wypróbowanego Opiekuna docierają do nas i są nieocenioną pomocą w szerzeniu Królestwa Chrystusowego, Królestwa Miłości, które dzięki Wam zaszczepia się i owocuje na Czarnym Łądzie.

- Tak, to dzięki Waszej ofiarnej miłości, uśmiech zakwita na wynędzniałej twarzy dziecka, bo jak inne dzieci - może chodzić do szkoły, chociaż żyje w buszu, chociaż żyje w jednym z trzech najbiedniejszych krajów świata, gdzie tylko 24 % dzieci może uczęszczać do szkoły podstawowej.

- Dzięki Waszej ofiarnej miłości smutne oczy matki rozjaśnia uśmiech radości, bo umierające dziecko odzyskało życie, odzyskało zdrowie w misyjnym ośrodku zdrowia, choć urodziło się w kraju, gdzie jeden lekarz wypada na 100 tysięcy mieszkańców!

- Dzięki Waszej ofiarnej miłości „chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, ubogim głoszona jest radosna Nowina Braterstwa we wspólnym Ojcu i wspólnej Matce Maryi.

- Dzięki Waszej ofiarnej miłości w dzisiejszym świecie, w świecie apotezy technologii, w świecie „często zimnym, obojętnym, podzielonym grupowym i indywidualnym egoizmem, egocentryzmem, walką o powodzenie...”, rodzi się nadzieja cicha „jak łagodny powiew wiosny, niosący zapach kwiatu pomarańczy”, nadzieja na odzyskanie ducha braterstwa, który nam dzisiaj jest tak bardzo potrzebny jak powietrze...

- Jestem też przekonany, że dzięki Waszej ofiarnej miłości, dzięki włączeniu się w dzieło misyjne Kościoła, sami w sobie rozwijacie i umacniacie „człowieczeństwo, którego nie zniszczy ani rutyna, ani cynizm, ani wiek, ani to, co najczęstsze: kariera i zmęczenie”... sami stajecie się coraz pełniej Dziećmi Ojca, który jest pełen dobroci i miłosierdzia, który sam zapoczątkował dzieło misyjne, bo „tak umiłował świat, że Syna swego posłał...”. To właśnie ten Syn, tak nam zaufał, że nam zwierzył rozpoczęte dzieło: „Idźcie na cały świat...”!

Za pomoc w realizowaniu tego posłannictwa, z okazji Dnia Misyjnego, w imieniu wszystkich misjonarzy, a szczególnie w imieniu polskich Karmelitów Bosych i polskich Karmelitanek Dzieciątka Jezus, pracujących w Burundi, składam Wam Drodzy Przyjaciele, bardzo serdeczne „Bóg zapłać”! i zapewniam o naszej stałej, wdzięcznej pamięci w modlitwach!

O. Teofil St. Kapusta OCD

3 Dz. 14, 19-20

4 2 Kor. 11, 23-29

D. Sp. 119 – Bujumbura
Mpinga
BURUNDI – Afrique

PS. Drodzy Przyjaciele!

Powyższy list napisałem dwa tygodnie przed zaplanowanym wyjazdem do Burundi. Inne są jednak zaplanowania ludzkie, a inne plany Boże. Przed kilku dniami przywiózł mi O. Jan Kanty Stasiński wiadomość, że „muszę” poczekać z przyjazdem do Burundi, aż do końca listopada. Szkoda, ale z drugiej strony trzy miesiące wakacji. Jeżeli nie umarzę w tutejszym kimacie, to jeszcze wielu z Was zobaczę. Mam nadzieję! Chciałbym wszystkich!!!

Inne wiadomości przywiezione przez O. Jana Kantego: epidemia cholery została zlokalizowana w okolicy jeziora Tanganika. Jest obawa, że w porze deszczowej znów się nasili, ale chyba do Mpingi i Musongati nie dotrze, bo to przecież góry!

Już, już kończę, bo i tak list będziecie zmuszeni czytać na raty. Za gadulstwo bardzo przepraszam i wiele serdeczności serdecznych w Panu przesyłam!

Wasz brat
O. Teofil kb

List S. Zygmunty:

JM+JT

Sosnowiec, dnia 30.11.1978

Ukochani Przyjaciele naszej Misji!

Piszę ten list, by Was pozdrowić i równocześnie pożegnać. Trzymiesięczny mój pobyt w Ojczyźnie minął bardzo szybko, nie mniej szybko, jak płynie czas nam tam, na Czarnym Łądzie.

Wykorzystałam go na odnowienie duchowe i nieco refleksji, a także szkolenie zawodowe. Bez trudu – będąc w Polsce – mogłam zauważyć tę wielką różnicę kulturalną i ekonomiczną naszego kraju i Trzeciego Świata. Ci ludzie także posiadają ciało i duszę, także inteligentni na swój sposób jakże są bezradni bez domów, bez łyżki i miski, bez soli i chleba, żywiący się jakże nieurozmaiconymi płodami ziemi – bez przemysłu i szkolnictwa.

Mogłam się także przekonać jak Wy, Najdrożsi, bardzo jesteście misyjni, z jak wielkim zainteresowaniem reagujecie na problemy i potrzeby Czarnych Braci w Afryce. Jestem dumna z Was, moich Rodaków i dziękuję Wam z całego serca.

Niestety w czasie mojego pobytu tylko z niewielu spośród Was mogłam się spotkać i osobiście podziękować. Wybaczcie mi to, Ukochani. Poświęciłam ten czas w Polsce na doksztalcanie w dziedzinie stomatologicznej, by nieco więcej i lepiej pomagać tam. A teraz Wam powiem dlaczego? W Burundi jest tylko jeden dentysta i wiecie jak ludzie radzą sobie z

bolącym zębem? Chwytają za ręce i głowę takiego cierpiącego „jegomościa” wbijają mu żelazo podobne do gwoźdźcia między ząb, a dziąsło i wyważają. Czasem to im się udaje, ale częściej my zbieramy skutki: zakażenie, złamanie korzenia. A żal usuwać zęby szczególnie młodym ludziom. Dlatego to zabrakło czasu na skontaktowanie się z każdym z Was. Liczę, że Dobry Bóg uzupełni niemożność tego mojego osobistego kontaktu z Wami, Przeważnie Dobroczyńcy i Przyjaciele naszej misji w Burundi, głębszą więzią duchową w modlitwie i naszej wspólnej idei niesienia pomocy potrzebującym.

Pozdrawiam Was Ukochani. Pozdrawiają Was także nasi parafianie w Musongati – Burundi. Przed odjazdem prosili mnie, by uścisnąć Wasze dłonie. Szczególnie z naciskiem przekazywała pozdrowienia ośmioletnia Małgosia. Przyszła na misję wraz ze swoimi siostrzyczkami – trzyletnią, która uśmiechała się ciągle i drugą, dwuletnią, którą Małgosia dźwigała na plecach. Gdy zapytałam, co chce – Małgosia patrząc mi prosto w oczy odpowiedziała: „przyszłam cię poprosić, byś powiedziała dzieciom w twoim kraju bwakeye”. (tzn. dzień dobry).

Małgosia to rozumna dziewczynka. Zastępuje swoim siostrzyczkom mamę. Nosi je, zbiera drzewo, chodzi po wodę, a potem siadając przy garnku postawionym na trzech kamieniach, dmucha zamazyście w ognisko do czasu, aż posiłek dla rodziny ugotuje się. Ma wprawdzie mamusię, ale chorą. Była długo w szpitalu na operacji żołądka.

Po powrocie do Burundi przekażę wszystkim Wasze wyrazy i objawy życzliwości i miłości.

Pragnę Wam jeszcze powiedzieć Ukochani, że wracam tam, do „moich” z radością i przekonaniem, że jestem im potrzebna. Do zadań tych umacnia mnie poza tym Łaska Boża, która mi wszędzie towarzyszy, również i Wasza ofiarna postawa, Wasza życzliwość tak wszechstronnie, duchowo i materialnie okazywana.

Żegnam Was, Najdrożsi tym pozdrowieniem kirundzkim – Nagasaga – Do widzenia!

Z Bogiem
S. Zygmunta